

Cywilizacja użycia i cywilizacja miłości

"Wiadomo bowiem, że można dążyć do tego, ażeby druga osoba chciała tego samego dobra, którego ja chcę. Rzecz jasna, iż ten mój cel musi ona poznać i uznać za dobro, musi go uczynić również swoim celem. Wówczas pomiędzy mną a ową osobą rodzi się szczególna więź: więź wspólnego dobra i wspólnego celu, który nas łączy. Ta szczególna więź nie ogranicza się do tego tylko, że razem dążymy do wspólnego dobra, ale jednoczy "od wewnątrz" osoby działające — i wówczas stanowi ona istotny rdzeń wszelkiej miłości. W każdym razie żadna miłość między osobami nie da się pomyśleć bez jakiegoś wspólnego dobra, które je łączy." — napisał Karol Wojtyła w swej książce "Miłość i odpowiedzialność."

Pragnienie użycia drugiego człowieka jako środka do osiągnięcia jakiejś własnej korzyści bierze swój początek w opisanym w Księdze Rodzaju Upadku. Gdy nastąpiło pęknięcie w opartej na zaufaniu i miłości relacji pierwszych ludzi z Bogiem, również pomiędzy nimi samymi pojawiła się rysa obcości i wzajemnego obwiniania się: □Niewiasta, którą postawiłeś przy mnie, dała mi owoc z tego drzewa i zjadłem□— mówi Adam do Boga. □.. ku twemu mężowi będziesz kierowała swe pragnienia, on zaś będzie panował nad tobą□— słyszy Ewa. Od tamtej pory — tu posłużmy się znów cytatem z Miłości i odpowiedzialności: "Miłość we wzajemnych stosunkach między ludźmi nie jest czymś gotowym. Jest ona naprzód zasadą czy też ideą, do której ludzie muszą niejako podciągnąć swe postępowanie. Jeśli chcą — czego chcieć powinni — uwolnić je od nastawienia użytkowego, czyli konsumpcyjnego względem innych osób".

W ciągu wieków to napięcie pomiędzy użyciem i miłością ujawniało się nieustannie i na różnych płaszczyznach: politycznej, ekonomicznej, społecznej, w historii wielkich społeczności i pojedynczych osób. Przestrzenią relacji międzyludzkich szczególnie podatną na niebezpieczeństwo użycia, choćby mimowolnego — jak zauważył Karol Wojtyła — jest płciowość. Żyjemy w czasach, w których za sprawą niespotykanego dotąd w dziejach rozwoju środków komunikacji obserwujemy gigantyczny przemysł nastawiony na czerpanie gigantycznych zysków z kreowania w sferze płciowości "cywilizacji użycia", która swój sukces upatruje w przekonaniu człowieka, że nie ma żadnego powodu, by „podciągał” on swe postępowanie do wymagań autentycznej miłości. Nie chodzi przy tym o banalne stwierdzenie: "dawniej tak nie było", lecz o skalę zjawiska, bowiem nigdy wcześniej kilkuletnie dziecko nie miało możliwości przy pomocy jednego przycisku komputerowej myszy obcować we własnym domu z materiałami przedstawiającymi najbardziej drastyczne sceny seksualnego używania kobiet, mężczyzn, dzieci oraz zwierząt, i to we wszelkich możliwych konfiguracjach. Ta ekspansja kulturowo-ekonomiczna opiera się na podsuwaniu gotowych rozwiązań, odsuwających w głęboki cień prawdę o tym, że wszystko, co jest prawdziwie wartościowe, musi kosztować. Tak więc najpierw młodym ludziom przedstawia się seks jako teren eksperymentów i ekscytującą zabawę osób nieskrępowanych sztucznymi, skostniałymi religijnymi nakazami, a następnie słyszymy kolejny argument: „Bądźmy realistami — ponieważ nie jesteśmy w stanie powstrzymać młodzieży od wczesnego rozpoczynania współżycia, nie można sprzeciwić się upowszechnieniu środków antykoncepcyjnych, bo przecież lepsze to niż aborcja”.

Ukryta epidemia

Stąd już tylko krok do ociekających tragiczną obłudą manifestacji w stylu duńskiego rzeźbiarza Jensa Galschiota, który w grudniu 2006 roku umieścił przed katedrą w Kopenhadze rzeźbę zatytułowaną "W imię Boga", przedstawiającą ukrzyżowaną ciężarną nastolatkę — miał to być wyraz „humanistycznego oburzenia” na wszelkiej maści „biblijnych fundamentalistów” w rodzaju prezydenta Busha i papieża Benedykta XVI na czele, obarczonych winą za tragiczne skutki ich braku akceptacji dla seksu przed ślubem oraz używania prezerwatywy dla

ochrony przed wirusem HIV. Równocześnie środowiska medyczne w krajach rozwiniętych, takich jak USA czy Wielka Brytania biją na alarm z powodu prawdziwej ukrytej epidemii innych niż AIDS zakażeń przenoszonych drogą płciową (nie łudźmy się, że w Polsce jest lepiej — po prostu u nas nie prowadzi się poważnych badań nad skalą problemu). "The Hidden Epidemic: Confronting Sexually Transmitted Diseases" — tak amerykańscy uczeni zatytułowali opublikowany w 1997 roku raport, z którego dowiadujemy się, że corocznie 12 milionów Amerykanów zaraża się chorobami przenoszonymi drogą płciową, zaś pięć z nich (chłamydia, rzeżączka, AIDS, kiła, wirusowe zapalenie wątroby typu B) znajduje się w "pierwszej dziesiątce" zakażeń. Wskaźniki niektórych z tych infekcji sytuują Stany Zjednoczone na pierwszym miejscu częstotliwości ich występowania w zindustrializowanym świecie, a w niektórych przypadkach dorównują wskaźnikom z krajów tzw. Trzeciego Świata. W momencie opublikowania raportu szacowano, że ponad 55 milionów Amerykanów jest zakażonych: wirusem opryszczki narządów płciowych i wirusem brodawczaka ludzkiego (HPV) — osoba nimi zainfekowana stwarza stałe ryzyko przekazywania infekcji kolejnym partnerom seksualnym. Konsekwencje takiego stanu rzeczy w największym stopniu dotyczą kobiet: na przykład, według danych z raportu, ponad cztery i pół tysiąca Amerykanek umiera każdego roku z powodu raka szyjki macicy wywołanego szczepami HPV, zwiększa się także skala niepłodności oraz ryzyko wystąpienia zagrażających życiu matek ciąży pozamacicznych. Chorobami przenoszonymi drogą płciową mogą również zarazić się dzieci podczas porodu, zakażenia te czynią także kobiety i mężczyźni bardziej podatnymi na zarażenie się wirusem HIV. Owa ukryta epidemia powoduje również niebagatelne konsekwencje dla budżetu państwa. Autorzy raportu szacują, że koszty leczenia tych chorób oraz wynikających z nich powikłań, a także koszty pośrednie, związane na przykład z niezdolnością do pracy, mogą sięgać 10 miliardów dolarów rocznie, zaś gdy dodamy do tego ekonomiczne konsekwencje HIV i AIDS, wówczas kwota ta wzrasta do 17 miliardów dolarów.

Różne diagnozy przyczyn

Co ciekawe, pisząc o przyczynach omawianego zjawiska eksperci wskazali nie tylko na przywoływane wielokrotnie czynniki medyczne, takie jak choćby: specyficzny, bezobjawowy przebieg niektórych zakażeń w ich wstępnej fazie, słaba profilaktyka i diagnostyka, niska świadomość społeczna problemu (wyrażająca się na przykład w niestosowaniu prezerwatyw) czy ubóstwo, lecz także na nieodpowiedzialne traktowanie seksu w przekazie medialnym, na ryzykowne zachowania seksualne, brak komunikacji pomiędzy rodzicami i dziećmi. Bezpośredni związek z rozprzestrzenianiem się zakażeń mają wczesne rozpoczynanie przez młodzież aktywności seksualnej, gdy organizm nie wykształcił jeszcze w dostatecznym stopniu systemu ochrony immunologicznej, oraz posiadanie wielu partnerów seksualnych, czemu sprzyja z kolei powszechność środków antykoncepcyjnych.

W tym kontekście coraz częściej formułuje się więc pogląd, że najbardziej skutecznym zabezpieczeniem zarówno przed HIV, jak i przed innymi chorobami przenoszonymi drogą płciową, jest zachowanie wstrzemięźliwości seksualnej przed ślubem oraz dochowanie wierności w małżeństwie. Taki program napotyka jednak na dwie zasadnicze przeszkody: wpisany w ludzką naturę opór przed rozwiązaniami wymagającymi wyrzeczeń i samoograniczenia oraz lansowany model kultury masowej, w którym owe ograniczenia traktowane są jako relikty represyjnej religijnej moralności.

Państwo: permissywne czy odpowiedzialne?

Właśnie dlatego w racjonalnej i kształtowanej w sposób odpowiedzialny wizji organizacji życia społecznego, musi być miejsce na działania wychowawcze nastawione nie tylko na doraźne eliminowanie aktualnych niszczących skutków „cywilizacji użycia”, lecz także na rozwiązania długofalowe i sięgające do źródeł tych niepokojących zjawisk. Gdy bowiem spojrzymy na problem z punktu widzenia właściwie rozumianego interesu społecznego, to powinniśmy uczciwie przyznać, że, zważywszy choćby na kwestie ekonomiczne czy demograficzne, państwo ma pełne prawo promować taki model zachowań i taki styl życia, który będzie przeciwstawiał się "cywilizacji użycia". Tymczasem w wielu środowiskach, tak w Polsce, jak i na świecie, obserwujemy chroniczną alergię na wszelkie instytucjonalne próby umacniania pozycji i podkreślania wartości tradycyjnej rodziny, przy czym w imię doktryny politycznej poprawności podważa się samą zasadność ustalania jakichkolwiek norm w tej dziedzinie.

Przykład pierwszy z brzegu to choćby przygotowana niedawno przez brytyjski rząd, pomimo głośnego sprzeciwu wielu środowisk, w tym także premiera Blaira, ustawa nakazująca katolickim ośrodkom adopcyjnym w Anglii wydawanie zgody na adopcje dzieci przez pary homoseksualne. Komentując ten fakt Paweł Lisicki napisał w "Rzeczpospolitej": "Alan Johnson, brytyjski minister edukacji, zapytany, dlaczego nie można zrobić dla katolików wyjątku, powiedział: Byłaby to oczywista dyskryminacja. Nie uważam, by istniała możliwość wprowadzenia jakiegokolwiek wyjątku";. Pięknie. Czyli: albo katolicy uznają prawo homoseksualistów do adopcji dzieci, albo zamkną swoje placówki. Albo podporządkują się prawu, które łamie ich sumienia, albo do widzenia. I teraz pytam: gdzie są obrońcy demokracji? Gdzie ci wszyscy, którzy wciąż troszczą się o europejskie wartości? (...) Mimo że na naszych oczach dokonuje się krzyżący do nieba gwałt na sumieniach, świat milczy. Mimo że pan Alan Johnson robi wrażenie stokroć bardziej zideologizowanego niż Roman Giertych, cywilizowany świat parzy na jego totalitarne zapędy ze spokojem. Spokojem? Może nawet i życzliwością." (dodatek Plus Minus, 27-28 stycznia 2007).

Nieprzypadkiem prorocy etycznego liberalizmu akcentują represyjny charakter tradycyjnych norm, a styl ich wypowiedzi (a niestety, często także styl ich, pełnych dobrych intencji, adwersarzy) zarysowuje obraz frontu walki: krzykliwa kpina, zjadliwa ironia, szyderstwo, pycha. Trudno w obliczu takiego dyskursu budować "więź wspólnego dobra i wspólnego celu", bo wtedy należałoby rozpocząć spokojny i uczciwy dialog, który doprowadziłby do zupełnie innych konstatacji.

Rodzina do zadań specjalnych

Od dwóch tysięcy lat towarzyszą ludzkości słowa św. Pawła z Pierwszego Listu do Koryntian: "Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka pokłasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje...". Jak już wspomniano, państwo ma do odegrania istotną rolę w kształtowaniu atmosfery sprzyjającej realizacji zawartego w tym fragmencie programu budowania więzi społecznych, jednak ostoją cywilizacji miłości i jej fundamentem zawsze były i są rodziny, w których każdy z nas najpierw uczy się miłości, by następnie przekazać ją kolejnemu pokoleniu.

Żołnierze wysyłani na niebezpieczne misje (np. do Afganistanu) są szkoleni w warunkach możliwie najbardziej zbliżonych do tych, które zastaną na miejscu; próbuje się nawet realistycznie symulować sytuacje zagrożenia, walki z użyciem ostrej amunicji. Podobnie nie ma lepszego "poligonu doświadczalnego" miłości niż życie rodzinne: dzień po dniu z bliskimi sobie ludźmi, których trzeba nie tylko tolerować czy akceptować, ale kochać w przeróżnych sytuacjach "frontowych", rozwiązywać problemy, mądrze zażegnawać konflikty, wchodzić w coraz dojrzałą i głębszą więź. W dobrych rodzinach szkolą się komandosi miłości dla współczesnego świata.

Bogdan Górnicki